

~~MAR 3~~

Archiwum Wschodnie 73 ~~76~~

56

Marian Snopko

~~SNOPKO~~

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Pochodzę z niedużej wioski Dubiele pomiędzy Żołądkiem a Szczuczynem w nowogródzkim. Ojciec mój, znany i poważany w okolicy, miał niewielkie gospodarstwo. Wkrótce po zajęciu tych terenów przez wojska radzieckie aresztowano go i wywieziono na Sybir do Kasnojarska, skąd wrócił dopiero w 1945 roku. Pozostała w domu matka z dwiema moimi siostrami i ze mną, młodym chłopcem, który w momencie wybuchu wojny chodził do 6 klasy. W 1943 roku zostałem żołnierzem AK/pseud. Burza/ i działałem w siłach pomocniczych. Po ponownym wkróceniu Rosjan nie przerwaliśmy naszej walki. Kiedy 12 maja 1945 NHB/?/ schwytało mnie w lesie w drodze do Szczuczyna, zorientowałem się szybko, iż doskonale wiedziało z kim ma do czynienia i że nie było to aresztowanie przypadkowe. Wywieziono mnie do Żołądka, ~~dalej~~ dalej do Grodna. Tam poznałem młodego chłopaka Olgierda Zarzyckiego/pseud. z AK - Orkan, spotkaliliśmy się potem w Workucie, przeżył, jest w kraju/, tam też odczytano mi wyrok - 20 lat katorżnych prac i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Z Grodna przewieziono mnie do Orszy, potem do więzienia w Leningradzie, gdzie spotkałem wielu naszych, między innymi pedagoga z Wołkowyska Strzeleckiego. Pragnąc dodać nam, młodzieży, otuchy podsunął on myśl ucieczki z transportu. Kiedy później wyruszyliśmy na północ, byliśmy istotnie przygotowani do ucieczki. Próbowaliśmy wydostać się z wagonu przez podłogę, ale Rosjanin donosiciel udaremnił tę próbę. Okazało się potem, iż nie był to dobry sposób, gdyż pod ostatnim wagonem przyczepiona była tzw. koszka - żelazne zęby umocowane do osi pociągu i wystające na 10 cm od podkładu kolejowego.

Po dwóch tygodniach podróży/była to zima/ dotarliśmy do Workuty. Przydzielono nas do SZU 2 - obozu liczącego ok. 5000 więźniów, który obsługiwał 3 kopalnie - 12, 14 i 16. Najpierw skierowano nas do łaźni, gdzie każdy dostał żelazne kółko, zawieszał na nim ubranie i oddawał

do odwszenia. Umyci paroma litrami wody i garścią czarnej mazi - niby mydła, ostrzyżeni i ogoleni przez fryzjera, stawaliśmy przed komisją, która między innymi odbierała do depozytu co cenniejsze przedmioty osobiste, a obecny w niej lekarz kwalifikował ludzi pod względem przydatności do pracy. Tu też człowiek kończył ze swoim nazwiskiem. Każdy otrzymywał numer katorżnika. Numery te układano alfabetycznie, z cyframi od 1 do 999. Ja miałem numer Ł 96. Wypisany olejną farbą na kawałku białego płótna musiał być przyszyty przez więźnia do daszka czapki, powyżej prawego kolana spodni i z tyłu wierzchniego okrycia. Dziwiłem się nawet z początku, iż w miejscach gdzie te numery miały być przyszyte wycięte były odpowiedniej wielkości dziury, jednakże potem zrozumiałem, iż gdyby ktoś chciał zerwać numer, pozostawał wycięty znak. Owe numery przyszywaliśmy do ubrania roboczego, które składało się z tichogrejki, watowanych spodni, czapki uszanki i tzw. czuni - czegoś w rodzaju watowanych skarpet, do których drutem umocowane były podeszwy z dętek samochodowych.

Obóz otoczony był drutem kolczastym, na rogach i pośrodku stały wyszki/wieżyczki strażnicze/, były też karabiny maszynowe, a na zewnątrz uwiązane do specjalnych drutów biegały szkolone psy. Pierścien zewnętrzny była to zaplatnaja zona. W oplatającym go drucie kolczastym umieszczone były co kilkanaście metrów tabliczki - Wnimanije zaplatnaja zona. Kiedy przyjechałem do SZU 2 stało tam tylko kilka baraków, reszta to namioty. Szybko jednak baraków przybywało, budowaliśmy je sami z desek, do środka zaś dla ocieplenia sypano żużel. W jednym baraku mieszkało ok. 120 ludzi. W rogach stały 2 opalane węglem piece zrobione z 200 litrowych beczek po benzynie, a przez cały budynek biegły nary górne i dolne, na których więźniowie spali pokotem. Ciepło było tylko tym silniejszym, którzy zdołali dostać się bliżej pieca.

Dzień tych którzy pracowali w kopalni rozpoczynał się rano pobudką naradczyka, który drewnianą pałą wypędzał ludzi z nar. Po otwarciu

baraku/był zamykany na noc/, dwóch ludzi, szło po chleb dla brygady do chlebozeczki, obstawionych przez dodatkowych czterech w obawie przed napadem i kradzieżą, Potem uformowane mniej więcej 25 osobowe brygady wychodziły do stołówki, gdzie dostawały po czerpaku zupy.

Po posiłku kierowały się do wyjścia. Przy bramie poszczególni naradzacy wyczytywali numery więźniów pracujących w podległych im uczestkach kopalni. Za bramą więźniowie ustawiali się w ok. 100 osobowe kolumny konwojowane przez uzbrojonych żołnierzy i psy. Dowódca konwoju mówił przed wymarszem: Szag w lewo szag w prawo konwoj szczytajet pobieg. Przynimaj orużie bez uprzedzenia. Zdarzało się, iż w porze odwilży ktoś chciał na przykład ominąć błoto i zszedł nieco z drogi, strzelano do niego natychmiast. Po pracy, w drodze powrotnej zabierano trupy, by stan osobowy brygady zgadzał się. W kopalni pracowano 8 /12?/ godzin w bardzo prymitywnych warunkach/np. wagony z węglem popychano po drewnianych szynach/. Było mokro, toteż ludzie stale chodzili w przemoczonych ubraniach, bez możliwości zmiany czy wysuszenia ich w barakach. Po powrocie z pracy więźniowie szli do stołówki i dostawali po czerpaku zupy przeważnie ze zmarzniętej brukwi.

Obowiązywało 5 kotłów/norm wyżywienia/, 6 i 7 przeznaczony był dla władz obozowych. 4 kocioł - czerpak zupy, 450 gram chleba, 100-200 gram kaszy, 2 kocioł dla tych co wyrobili większą normę - zapiekanka z kaszy lub kukurydzy, trzeci - kawałek ryby, dalej mogło być lepsze okraszenie. Ale nie opłacało się więcej pracować, gdyż organizm i

1 | tak więcej zużywał energii w pracy niż otrzymał jej w pożywieniu.

W latach 1948-50 warunki znacznie poprawiły się. Przy kopalniach były łaźnie, można było brudne ubranie zostawić, a w drugim wyjść. W barakach było lepiej, nary zamieniono na piętrowe łóżka, była suszylka, gdzie niewolny całą noc palił w piecu i suszył nasze ubrania, była mastierskoje, gdzie szewc czy krawiec łątali buty i ubrania. W miejsce czuni dostawaliśmy trzewiki itp. Tym samym zmniejszyła się też umieralność.

3
212 52
1 Kiedy pracowałem w brygadzie budowlanej mój bliski przyjaciel Janusz Guttry/przeżył, mieszka w kraju/ był tak wykończony fizycznie i psychicznie, że chciał obciąć sobie rękę, żeby tylko nie iść do pracy. Uprosił jakiegoś Rosjanina, by ten za cukier/raz w miesiącu dostawiliśmy 400 gram/ odrąbał mu lewą rękę. Zaczęli się targować, Rosjanin twierdził, że tu nie ma 400 gram, Janusz zaklinał się, że zużył tylko łyżeczkę od herbaty. W końcu dobili targu i w chwili, kiedy Rosjanin uniósł siekiere do góry, zjawił się brygadzista im rozpędził ich. Zajęliśmy się potem Januszkiem i przeżył.

2 Odtąd ludzie chodzili do pracy specjalnie zbobionymi korytarzami, bez konwoju, bo u góry były druty kolczaste. Miało to duże znaczenie szczególnie podczas purg - zawiei śnieżnych bardziej dokuczliwych niż dochodzące do 50° mrozy.

A była ona tak znaczna, iż specjalna 32 osobowa brygada więźniów nie nadążała ze zbieraniem trupów. Zdarzało się, że rano budzisz swego towarzysza, a on nie żyje. Nie zgłaszało się tego od razu, żeby wykorzystać porcję zmarłego - te przydziałowe 450 gram chleba. Zmarłych, oznaczanych tzw. birką - drewnianą tabliczką z numerem przywiązaną do stóp, grzebano na cmentarzu w pobliżu obozu. Nim to jednak nastąpiło, strażnik w bramie przebijał każdego ostrym sztyltem po to, by nie wywieziono żywego człowieka. Najwięcej umierało Łotyszów, Estończyków - tych z krajów nadbałtyckich. Byli to wysocy, mocno zbudowani mężczyźni - ich organizmy potrzebowały więcej jedzenia. Zbierali oni po jamach głowy ryb i inne odpadki i gotowali je potem na piecyku. Po kilku dniach występował obrzęk nóg i wkrótce umierali. Może na skutek bakterii z tych smierdzących odpadów?

W obozie przebywali więźniowie różnych narodowości; można było spotkać i Anglika i Francuza, było też 6 Chińczyków. My Polacy stanowiliśmy bardzo zwartą grupę, byliśmy jak jedna rodzina. Nie słyszałem by wśród Polaków zdarzył się donosiciel. Starsi opiekowali się młodszymi, starali się przekazać im swoją wiedzę, zastąpić szkolne nauczanie. Przypominam sobie nieżyjącego już pana Każyńskiego, pana Galińskiego, a przede wszystkim Stefana Józefowicza, który przewodził naszej polonii. Pracował on w księgowości i wykorzystywał wszelkie możliwości, by pomóc rodakom, starał się by Polacy pracowali wszędzie tam, gdzie taka pomoc mogła być realna. I tak np. leki załatwialiśmy przez wolnych, przeważnie Rosjan, którzy pracowali w obozie lub w kopalni.

(Takiej zwartej grupy jak Polacy nie było wśród innych narodowości, choć nie byliśmy najliczniejsi.)

I ja skorzystałem z tej drogi, wysyłając przez wolnych list do Polski, do Politechniki Warszawskiej. Znalazł się wówczas student IV roku Politechniki, redaktor Po prostu, który nawiązał ze mną kon-

takt i przysyłał mi polskie czasopisma. Były one wprost zaczytywane i przechodziły z obozu do obozu, a trzeba dodać, iż posiadanie ich nie było legalne.

Dzięki pomocy rodaków udało mi się przetrwać obóz. Początkowo przebywałem w baraku OP dla tych którzy byli chorzy lub za słabi, by pracować. W tym czasie przypadkowo zetknąłem się z szefem kuchni panem Kazimierzem Leszczyńskim, właścicielem restauracji ze Lwowa, który w Workucie siedział od 1939 roku, a wówczas/1946/ był już wolny po odbytych wyroku. Pamiętam naszą pierwszą rozmowę w kantorku pana Leszczyńskiego, w którym zresztą jak się później dowiedziałem odchodziła istna wyżerka dla władz obozowych - jedli tam obiady, kolacje, a nadto jeszcze wynosili w teczkach różne atrakcyjne rzeczy jak konserwy z amerykańskiej pomocy, które przeznaczone były dla więźniów. Pan Kazimierz zatrudnił mnie u siebie w kuchni. Dobre odżywianie zrobiło swoje, kiedy po jakimś tygodniu, obejrzała mnie komisja, natychmiast skierowano mnie do kopalni. nr 14. Pracowałem tam jednak krótko, bo żadna brygada nie chciała mnie przyjąć do siebie, byłem za mały, za słaby. W końcu za sprawą p. Leszczyńskiego przeszedłem na etat do kuchni, a z tym wiązało się przeniesienie do innego baraku.

Wówczas to poznałem sąsiada z pryczy Żyda Dickmana, bardzo wykształconego człowieka, który znał 16 języków. Pochodził z Polski, tam skończył studia, a potem wyjechał do Izraela. Tam w czasie wojny współpracował z wywiadem angielskim. Słhwytny przez wywiad radziecki znalazł się w Workucie z wyrokiem 20 lat katorgi. Dickman pełnił w obozie odpowiedzialną funkcję naczelnika truda - rozdzielał pracę, załatwiał całą papierkową robotę. Stykałem się z nim często i wiele się od niego nauczyłem. Zapamiętałem też drobne na pozór, ale wymowne zdarzenie. Otóż, po procesie norymberskim znalazło się w Workucie wielu generałów hitlerowskich, m.in. gen. von Paulus. Jeden z nich

~~też tam~~
przy tej
Pak procent mnie, byśmy rozmawiali po polsku tylko wtedy, kiedy wikt tego nie stęszy i dąży Rumienie byli ^{ben szkie} wieściuści Polakom.

Schmidt/ przyp. rozmówcy - szefem sztabu u Paulusa był gen. Schmidt/
dużo ^{prebywał} rozmawiał z Dickmanem, często można ich było spotkać jak spacerowali i rozmawiali. Dickman nadto podsyłał Schimdtowi coś do jedzenia. Pewnego razu zostawił w baraku dla Schmidta kawałek chleba i ryby oraz kartkę. Prosił mnie wówczas, bym tylko zwrócił uwagę, jak ~~ten~~ Niemiec zareaguje, kiedy tę kartkę przeczyta. Niemiec kartkę przeczytał, zmieęzał się, ale ją zgniótł, zabrał chleb i poszedł. A było na niej napisane: Od sytego Żyda dla głodnego Niemca.

Wśród więźniów przeważali polityczni, ale we władzach byli kryminalni . tzw. błatnyje. Nie pracowali, mieli lepsze życie niż na wolności. Specjalny niewolny nosił im obiady, czyścił buty, własny krawiec szył im ubrania, dla nich w kuchni gotowano tak jak sobie życzyli. Mogli zamówić wódkę lub wyjść pod konwojem do innego obozu, gdzie były kobiety. Zabicie kogoś nie było dla nich problemem, wzrastał tylko wyrok, nierzadkie więc były przypadki, iż niektórzy mieli po 100 i więcej lat odsiadki. ^{Tych} ~~z~~ z nich, którzy odeszli od błatnych i współpracowali z władzami obozu nazywano suki.

Starszym baraku, w którym mieszkałem był Tatar Niemirow, człowiek w podeszłym wieku i bardzo słaby. Pomogłem mu, dożywając jak mogłem. Niemirow był mi ~~zawsze~~ to bardzo wdzięczny, uważając wręcz, że uratowałem mu życie. Jakiś czas po tym przyjechał do obozu brat Niemirowa Saszka, błatnyj, który został ich przywódcą. Obiecał mi on odwdzięczyć się za pomoc bratu i tak się wkrótce stało. Kiedyś, kiedy jeszcze rozdawałem posiłki, przyszedł do mnie błatnyj z nowego etapu i życzył sobie 2 kilo masła. Kiedy odmówiłem, chciał mnie zabić nożem. Na szczęście w tym momencie wszedł Saszka Niemirow i obezwładnił błatnego.

W czasie mego pobytu w obozie było kilka prób ucieczek. Podczas jednej z nich 5 śmiazków chciało uciec na nartach. Daleko nie odjechali. W promieniu 600 km od obozu tundra - karłowate brzozy wiel-

kości krzaków naszej czarnej jagody, potem dopiero las i dalej Ocean Lodowaty. Nadto tubylcy/Eskimosi?/, którzy za każdego schwytanego uciekiniera dostawali mąkę, cukier i inne produkty żywnościowe. Narciarze ci zostali złapani już na drugi dzień. Zabici strzałem w tył głowy, 3 dni leżeli w bramie, by widział ich każdy wychodzący do pracy. Jedna jedyna udana ucieczka miała miejsce nie z naszego obozu. 2 Rosjan pułkownik i major wyjechali z Workuty w luku węglarki tak zamaskowani, iż nie wykryto ich przy sprawdzaniu każdego wagonu z węglem żelaznymi prętami. Przedostali się w okolice Moskwy; tam jeden z nich ciężko zachorował na zapalenie płuc, znalazł się szpitalu. Siedząca przy nim pielęgniarka przypadkowo wysłuchała gorączkowych majaczeń, w których mówił o ucieczce, opowiedziała o tym mężowi, pracownikowi NHB. Po miesiącu obaj uciekinierzy z powrotem znaleźli się w Workucie.

Przez cały czas mego pobytu w Workucie naczelnikiem obozu SZU 2 był Szewczenko, najpierw kapitan potem major. Dohrze go wspominam, bo współczuł więźniom, ale niewiele mógł ~~im pomóc~~ dla nich zrobić. Bardzo nam też pomógł, kiedy zorganizowaliśmy strajk, który trwał 12-13 dni. Rozpoczął się 12 lipca 1953 roku, w ciepły pogodny dzień. Pierwsza zmiana wyszła do pracy, ale do kopalni nie zjechała i wróciła do baraków pod konwojem. Drugiej zmiany już do pracy nie wyprowadzono. Zona została obstawiona wojskiem i ciężkimi karabinami maszynowymi. Od razu wybraliśmy komitet strajkowy, w skład którego ^{ch} wchodziły po 2 osoby z każdej narodowości, z Polaków - Stefan Józefowicz i p. Zwinogrodzki. Komitet udał się do naczelnika obozu i przedstawił mu nasze żądania. Ten przyjął ich dobrze i przekazał postulaty do wyższych władz - do gen. Dierewianko, który miał pieczę nad całą Workutą. Żądania nasze przedstawiały się następująco:

- 1 - zabrać z obozu wszystkich stukaczy, 2 - zabronić żołnierzom ^{rano i wieczorem} /przychodzili robić prowierkę - liczenie/ wstępu na teren obozu,
- 3 - oddać kaptiorkę/magazyn żywności, w którym było jedzenia na

ok. trzy doby/ pod zarządzanie komitetu strajkowego. Komitet będzie także wyznaczał ludzi, którzy uruchomią w kopalniach wentylatory, by uniknąć wybuchów metanu. Najszybciej spełniono pierwsze żądanie - ok. 29 donosicieli zamknięto w karcerze a potem wywieziono ich. Podczas strajku byliśmy wszyscy bardzo spokojni, nikt nie podchodził do zony. Ponieważ, jednym z żądań było wezwanie władz z Moskwy, chcieliśmy rozmawiać tylko z najwyższymi władzami z Kremla, czekaliśmy cierpliwie na ich przyjazd. [W ^{tych} międzyczasie/ nasz obóz stanął pierwszy/ zastrajkowała cała Workuta. Mieliśmy bowiem łączność między obozami - informacje przekazywane były alfabetem Morse'a przy pomocy lusterka. Odległości między obozami były niewielkie - 1-2 km, każda więc wiadomość docierała w ciągu 1/2 - 1 godz. Robiliśmy też latawce z ręcznie pisаныmi ulotkami, choć je wyłapywano, część poszła w świat. Na drugi czy trzeci dzień naszego oczekiwania, jakiś oficer zaczął z zony robić nam zdjęcia. Wtedy jeden z więźniów rzucił cegłą w aparat fotograficzny. Oficer natychmiast wydał rozkaz otwarcia ognia. Żołnierz w pobliżu niego nie chciał strzelać, więc ten sam ~~zaczekał~~ diechtiarem puścił serię po ludziach. Kilku więźniów zginęło od razu, 12013 było rannych, wybuchła panika. By nas uspokoić, aresztowano tego oficera, ale jak się potem dowiedziałem tylko pozornie - szlify zachował, przewieziono go jedynie do innego obozu. [Po tym zdarzeniu czerwoną flagę na budynku stołówki przepasaliśmy kirem/ kiedy przyjechała delegacja strofowano nasz komitet, że taką żałobę wywiesza się tylko po śmierci dostojników państwowych, więc potem zdjęli tę czerń/. Komitet wyznaczył ludzi z miechcechu, którzy poszli do kopalni i wykuli żelazne krzyże z tabliczkami. Pogrzeb poległych odbył się na drugi czy trzeci dzień - w zrobionych przez nas trumnach zбитых z desek obnieśliśmy ich trzy razy wokół obozu, a ~~xxix~~ orkiestra obozowa/ zazwyczaj przygrywała nam jak szliśmy do pracy czy z pracy/ grała marsza żałobnego. Za zoną czekała ciężarówka, na której

wyznaczona do pogrzebu brygada ustawiła trumny. Kiedy samochód w drodze na cmentarz mijał inne obozy, tam też grano marsza żałobnego. Minęło spokojnie kilka dni. Wreszcie dowiedzieliśmy się, że komisja przyjechała. Rano ustawiono na stadionie stoły pokryte czerwonym płótnem i 27 krzeseł. ~~Wkrótce~~ Wkrótce podjechały czarne limuzyny z 2 ciężarówkami uzbrojonego wojska, brama otwiera się i oto cała świta z gen. Dierewianko wchodzi do środka. Pierwszy przemówił gen. Dierewianko i przedstawił członków delegacji - Krugłowa, Malenkowa i innych. Zauważyłem, iż było dużo stenografów, przebiegu spotkania nie filmowano. Następnie wystąpił Krugłow / pamiętam, że jak tylko przyjechał powiedział do nas "zdrastwutie", a my odpowiedzieliśmy mu chórem "zdrawie żelajem" / informując, iż w Moskwie przerwał sesję, żeby tu przyjechać, prosi więc żeby mówić krótko, bo ma mało czasu. Wtedy w imieniu całego obozu zabrał głos więzień - adwokat Żyd z Leningradu, bardzo dobry mówca. Powiedział całą prawdę o życiu w obozie. Wskazując na napis widniejący przed bramą obozową - Czestnym trudem dojdiesz do skoromu oswobodzenia - porównał go z podobnym hasłem obozów hitlerowskich, by wykazać podobieństwo obu systemów zagłady. Mówił o niewolniczej pracy w kopalniach, milionach zmarłych, stosunku NHB do nas. Po nim krótko przemawiali przedstawiciele wszystkich narodowości. W imieniu Polaków wystąpił chyba p. Zwinogrodzki domagając się powrotu nas do kraju; jeśli, ^{niebawem} powiadał, jesteśmy winni, karę możemy odbywać w Polsce. W końcu Krugłow obiecał, iż zdjęte będą kraty z okien i zamki z drzwi baraków, to znaczy będzie można swobodnie poruszać się w obrębie obozu. Zezwolił też na pisanie listów, bo dotychczas można było pisać tylko 2 razy do roku i to pod dyktando. Co ważniejsze jednak, obiecał iż po powrocie do Moskwy wyznaczy komisję - trójkę - przedstawicielei wierzchniego siuda, prokuratury i CK partii, która przyjedzie do nas i na miejscu rozpatrywać będzie wszystkie sprawy.

Po tym spotkaniu wróciliśmy do pracy, w innych obozach długo

jeszcze było niespokojnie. I u nas nie obeszło się bez pewnych represji - co bardziej aktywnych uczestników strajku przeniesiono do innych obozów, ja na przykład znalazłem się w kopalni 29. W końcu jednak przyjechała obiecana komisja. Rozpatrywała dziennie ok. 50 spraw - oprócz kryminalnych, więźniów zwalniano lub częściej dawano wolne posielenije. Wolny osiedleniec mógł się ożenić, mogła do niego przyjechać rodzina, pozwalano mu budować chatę, winien jedynie meldować się co jakiś czas.

W pierwszej kolejności jednak rozpytrywano sprawy nieletnic~~ki~~, ci którzy nie ukończyli 18 roku życia, wychodzili na wolność. Były to radosne chwile, ale dla niejednych zmęczone niepokojem. Na przykład mój kolega Głowaczewski/obecnie mieszka we Wrocławiu/ stracił kontakt z rodziną, był zrozpaczony, nie wiedział dokąd jechać, dałem mu więc adres mego ojca. I ja miałem nadzieję wyjść z małoletnimi, wszędzie bowiem miał 1925 podawałem datę urodzenia 1927 rok, komisja jednak zorientowała się, że za dużo nieletnich wychodzi z obozu i zaczęła sprawdzać daty urodzenia w dokumentach. Nie udało się, zamiast w 1954 wróciłem do kraju w 1957 roku. W końcu jednak i na mnie przyszedł czas. Komisja - trójka, po zapoznaniu się z moim dziełem/dokumentami śledztwa/ oznajmiła, że jestem wolny. Ale jak wracać do kraju? Komisja wydawała tylko dokument zwolnienia i bilet bezpłatny na przejazd do rodziny, resztę pozostawiała samemu więźniowi. ~~Żda w szysy x m b r a n i e x x z a k t i w i x x z y x x k i a g a w k e x~~ Pożegnałem Workutę, w której siedziałem 11 lat i 8 miesięcy i której śnieżna pierzyna przykrywa tyłu naszych.

W drodze do rodzinnych stron - okolic Grodna, zatrzymałem się w Moskwie, gdzie wstąpiłem do ambasady polskiej. Przyjął mnie tam bardzo serdecznie pan Rączkowski. Przekonałem się wówczas, że ambasada miała wszystkie moje listy, które tam wysyłałem. Zapytałem więc, dlaczego nie otrzymywałem odpowiedzi? Pan Rączkowski odpowie-

dział, iż wtedy widzieli wszystko przez czerwone okulary, zdjął je dopiero Październik. Pan ten uprzedził mnie, iż mogę mieć trudności z wyjazdem do kraju. Nie mylił się. Kiedy przyjechałem do ojca, złożyłem w najbliższym urzędzie papiery o wyjazd do Polski mnie i najbliższej rodziny. Odpowiedź była odmowna. Tylko dzięki sprytnym podstępom udało mi się w końcu zezwolenie takie uzyskać. Do ciekawych szczegółów należy fakt, że NHB domagało się zwrócenia dokumentu zwolnienia z obozu/ oddałem im ten dokument, ale przemyciłem kopię i mam ją do dziś/. Po przyjeździe do Polski, z pomocą punktu repatriacyjnego w Warszawie, znalazłem pracę i mieszkanie/3 pokoje z kuchnią dla mnie, ojca i siostry w bloku budowanym z funduszu Czerwonego Krzyża/ w Boguszowie koło Wałbrzycha.